

Oni decydują o postępie

Przed kongresem techników

Pięć lat temu odbył się we Wrocławiu IV Kongres Techników Polskich. Za 80 dni, na początku przyszłego 5-letniego, zbierze się w Katowicach kolejny, V Kongres Techników. Ta zbieżność dat kongresów z początkami planów wieloletnich, nie jest przypadkowa. Inżynierowie nadają bowiem techniczny kształt wytyczonym w tych planach celom.

„Kongresy inżynierów i techników — powiedział na poprzednim Kongresie Władysław Gomułka — zrosły się u nas z praktyką budownictwa socjalistycznego. Inteligencja techniczna wniosła wielki wkład w dzieło przeobrażenia ekonomicznego, w rozbudowę sił wytwórczych i wydobycia naszego kraju z głębokiego zacofania gospodarczego... Polska Ludowa wiele zawdzięcza inteligencji technicznej, jej ofiarnej, twórczej pracy...”

W Wielkopolsce dobiega końca wielka kampania przygotowawcza do V Kongresu. Kampania ta trwała pół roku. Brało w niej udział 15 tysięcy inżynierów i techników oraz liczni racjonalizatorzy. Na kilkuset

zebraniach, naradach i konferencjach dyskutowano nad technicznym kształtem wielkopolskiej 5-letki oraz wysunięto około 2.000 różnych wniosków. W najbliższym czwartku, w Auli Uniwersyteckiej w Poznaniu, odbędzie się Wojewódzka Konferencja Przedkongresowa NOT, na której wielkopolscy inżynierowie i technicy sformułują najważniejsze dezyderaty techniczne naszego regionu oraz wybiorą delegatów na Kongres.

Wprowadzenie do dyskusji na Wojewódzkiej Konferencji Przedkongresowej stanowić będą dwa referaty. W pierwszym z nich będzie mowa o potrzebach wielkopolskiego przemysłu w zakresie rozwoju mechanizacji, automatyzacji, nowoczesności i jakości produkcji. Drugi — będzie traktował o nowoczesnych metodach i środkach technicznych w systemie zarządzania, o doskonaleniu kadr technicznych i ich wykorzystywaniu. A więc tematy najbardziej obecnie aktualne, zgodne z tezami przedkongresowej dyskusji w całym kraju.

Tezy te mówią, iż na obecnym, wyższym etapie rozwoju ekonomicznego kraju, uzasadniona jest rozumna koncentracja wysiłków, środków i kadry technicznej w dziedzinach o najbardziej dynamicznym postępie technologicznym i o naj-

większej perspektywicznej efektywności dla społeczeństwa. Inżynierowie i technicy powinni pomóc ekonomistom i planistom w wyborze tych dziedzin. W naszych wielkopolskich warunkach do dziedzin takich należą chyba przemysły: obrabiarkowy, silnikowy, automatyki, elektroniki, farmaceutyczny i odlewniczy.

Dalej tezy wskazują, iż najważniejszym zadaniem dla inżynierów i techników jest dokonanie zasadniczego przełomu w nowoczesności i jakości produkcji. Z tym zastrzeżeniem jednak, że nowoczesność nie może stać się celem samym w sobie, że musi być ekonomicznie celowa. Dlatego wydaje się rzeczą niezbędną zaproszenie ekonomistów do merytorycznej oceny opłacalności, opracowanych niedawno w niektórych wielkopolskich zakładach, programów unowocześnienia produkcji. Jak dotychczas bowiem, programy te nie mają dostatecznej ekonomicznej podbudowy.

Wydać się także, iż w naszych polskich warunkach surowcowych, postęp techniczny winien być realizowany w nieco odmienny sposób niż np. w USA czy w NRF. Tam myśl techniczna koncentruje się przede wszystkim na oszczędności robocizny. U nas, myśl techniczna powinna się koncentrować na osz-

zczędności surowców, materiałów i nakładów inwestycyjnych, niezbędnych dla zaplanowanego wzrostu produkcji.

Nadchodząca 5-latka, którą inżynierowie i technicy weryfikują obecnie od strony techniki, będzie 5-latką wyżu demograficznego. Do pracy wkraczać będą roczniki liczne, lecz i lepiej niż kiedykolwiek dotąd przygotowane zawodowo. Stwarza to duże szanse dla polskiej gospodarki. Doświadczenia licznych krajów wskazują bowiem, iż bogate zasoby wykwalifikowanej siły roboczej, przy umiejętnych rozwiązaniach ekonomiczno-technicznych, mogą się stać czynnikiem dynamizującym postęp gospodarczy kraju.

W nadchodzącej 5-latce realizowane będą także zasadnicze przemiany w sposobach planowania i zarządzania gospodarką. Kierunki tych przemian wytyczone zostały przez IV Plenum KC PZPR. Mają one na celu podniesienie efektywności gospodarowania, niemałym już majątkiem narodowym, przywrócenie zgodności między interesami społecznymi i interesami jednostek i całych załóg w procesie wytwórczym oraz ułatwienie i przyspieszenie rozwoju cywilizacyjnego kraju.

Takie są cele ogólne. W ich realizacji przyjdzie jednak nieraz szukać dobrych rozwiązań cząstkowych, dotyczących poszczególnych wyinków życia gospodarczego czy problemów ekonomiczno-technicznych. Społeczeństwo ufa, że nasi inżynierowie i technicy i w tej dziedzinie nie poskąpią swej inicjatywy, rozumu i serca.

20-lecie
Poznańskiego
Chóru
Chłopięcego

JUBILEUSZ NAJMŁODSZEGO

Poznański Chór Chłopięcy ma mo upływ 20 lat ani o jeden rok się nie postarzał. Zawsze młody — chociaż twarze w nim się zmieniają od czasu do czasu, pełen uroku, wesoły, ruchliwy, ale na znak dyrygenta zmienia się w żywy wieloosobowy instrument muzyczny, przykuwa uwagę słuchaczy i nad nimi panuje.

Powstał w 1945 roku. Był wówczas skromną „Miniaturką” harcerską. Przeszedł wiele zmian, aż pod kierunkiem swojego założyciela — obecnego kierownika i dyrygenta Jerzego Kurczewskiego ukształtował się jako 80-osobowy zespół, który nie tylko wybił się na czoło najlepszych tego rodzaju chórów w kraju, ale także sięgnął po laury europejskie.

Już w 1946 roku koncertował w Poznaniu, w następnym zaprezentował się przed mikrofonami Rozgłośni Poznańskiej. W 1948 roku dał 10 koncertów na ziemiach zachodnich. Potem przysły sukcesy w Warszawie i II miejsce w konkursie zespołów chórów Festiwalu Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej w Budapeszcie (1949 r.). Rozgłoszenie bułgarskie, czechosłowackie, radzieckie nagrały piosenki w wykonaniu chóru dla swoich audycji. I w dalszym ciągu pieśni ludowe w najlepszym brzmieniu chór rozwodził po polskich miastach, występował w szkołach i zakładach pracy Wielkopolski. W 1953 r. na konkursie ogólnopolskim młodzieżowych zespołów artystycznych w Warszawie zajął pierwsze miejsce. Brał udział w nagraniu filmu „Opowieść o ziemi odrodzonej”. W tym samym roku 1954 dał koncert w Warszawie podczas Święta Odrodzenia, później 1955 kilka występów w stolicy, wziął udział w operze dziecięcej Cezara Cui „Jaśko Zwycięzca” w Poznaniu. I znów wioła po Polsce i innych krajach, nowe nagrania radiowe i telewizyjne (pierwsza audycja przed warszawską TV w 1956 r.).

W 1960 r. Chór zainaugurował cykl koncertów „Godzina muzyki”. Repertuar swój wzbogacił o nowe pieśni — plan konkursu kompozytorskiego ogłoszonego w r. 1961. Siegnął do trudnych utworów J. S. Bacha.

W 1963 r. przy współudziale WKZZ i naszej redakcji rozpoczyna tournée po Wielkopolsce z popularnym koncertem z cyklu „Z „Głosem Wielkopolskim” wzdłuż i wszerz Wielkopolski”. Śpiewa w Wolsztynie, Zbąszyniu, Pleszewie, Ostrowie, Ostrzeszowie, Kępnie, Gostyniu, Szamotułach i w 20 innych miastach. I znów wypadły do NRD z dużą wianą utworów od renesansu po współczesne. Nie sposób policzyć tych wszystkich koncertów. W repertuarze — przeszło 100 utworów!

Chłoncy z placu Curie-Skłodowskiej (tam mieści się ich szkoła od 1957 r.) różnią się od innych tego rodzaju chórów śmiałością i na dobrym poziomie wykonawstwem nainowocześniejszego repertuaru, chociaż nie obra im się utwory dawnych mistrzów.

W tym wszystkim ogromna zasługa dyr. Jerzego Kurczewskiego. Ten absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Poznaniu Katedry i Muzykologii na Uniwersytecie Poznańskim okazał się nie tylko dyrygentem wysokiej klasy, ale dobrym pedagogiem, o dużej cierpliwości i woli, jakie są potrzebne dla zespołu chłopięcego, propagatora dobrej pieśni i piosenki. Rozsławili nasze miasto jako ośrodek wysokiej kultury muzycznej.

Jubileusz Poznańskiego Chóru Chłopięcego jest więc w pewnym sensie jubileuszem dla stolicy Wielkopolski. Dumni jesteśmy z niego i przekonani, że swoją artystyczną służbę spełniać będzie dalej, nie rezygnując z wysokiego swojego poziomu.

J. P.

Zdzisław Romanowski

Twórca „Cichego Donu”

Zimą 1939 roku Szołochow kończył w swej Stancyi Wieszńskiej czwartą i ostatnią księgę „Cichego Donu”. Poprzednia ukazała się w roku 1933; czytelnicy radzieccy z niecierpliwością czekali więc na dokończenie opowieści o Aksini i Grigoriju Melechowcie, opowieści o dramatycznych losach Kozactwa w okresie rewolucji. Pod adresem pisarza nadchodziło tysiące listów od czytelników. Jedni, tych była większość, domagali się, aby Grigorij znalazł w końcu drogę do rewolucji i został ocalony, inni, aby poniósł surową karę. — Podobne stanowisko zajmowała znaczna część krytyki literackiej.

Ale Michał Szołochow, tak uważnie wsłuchujący się zazwyczaj w głosy swych czytelników, nie przyjął ich sugestii. Pozostał wierny prawdzie życia i zarazem prawdzie swej artystycznej wizji. Nie zamknął losu i oceny Grigorija jedynie w kategoriach społecznej przynależności, w kategoriach politycznej winy i kary.

Grigorij jest przecież najpełniejszą, najbogatszą wewnętrzną, niepowtarzalną postacią epopei. I pisarz nie skorzystał z alternatywy rehabilitacji lub potępienia Melechowa. Uznał, że dla literatury ostateczna ocena moralna człowieka, sensu i treści jego życia nie może wynikać automatycznie z praw krwawych podziałów społecznych, z koniecznych i surowych praw okresu walki, chociaż te prawa wyznaczają ludzkie losy.

Zakończenie „Cichego Donu” przypomina zakończenie „Lorda Jima” Conrada. Jim staje przed Doraninem ze słowami: „Przyszedłem pełen żalu. Przyszedłem gotów na wszystko i bezbronny”. W „Cichym Donie” nie ma szlachetnej retoryki. Ale jest obraz Grigorija rzucającego broń, żegnającego się z cichym Donem i idącego po nieuchronną zapłatę. Pisarz, który jako jeden z pierwszych w sposób mistrzowski i artystycznie nie odpowiedział — podjął temat rewolucji i życia codziennego Kraju Rad, pisarz — komunista — swą praktyką twórczą wykazał, że istnieje granica między publicystyczną doraźnością, a wielką literaturą.

„Cichy Don” zaczął Szołochow pisać, mając zaledwie 21 lat. Ta książka, która stała się miała arcydziełem, wyrastała z bezpośrednich doświadczeń twórcy. Szołochow urodził się w Stancyi Wieszńskiej, nad Donem przeżył wojnę domową. „Uganiałem się za bandami panoszącymi się nad Donem do 1922 roku, a bandy uganiały się za nami” napisał młody Szołochow w swym życiorysie. A w udzielonym przed paru laty wywiadzie dla „Humanite” powie o sobie i Stancyi Wieszńskiej: „Nas niepodobna rozdzielić! Postacie mojej książki: Kozak Grigorij, jego stary ojciec, Aksinia — to ludzie, których znałem od dzieciństwa”.

Bezpośrednimi poprzednikami „Cichego Donu” są tomy opowiadań, w których można odnaleźć język, motywy, pierwowzory wielu sytuacji i postaci „Cichego Donu”. Są to utwory zebrane w książkach „Opowiadania dońskie” i „Lazurowy step”. Opisuje w nich Szołochow wojnę domową nad Donem, wojnę szczególnie wyniszczającą i okrutną w związku ze specyfiką Kozaczyny. Dzieci zabijają ojców, ojcowie swe dzieci. Nawet rodziny zostały rozdzielone na wrogie obozy... Wczesne opowiadania Szołochowa były dla pisarza wielką, artystyczną szkołą.

Epopeję „Cichy Don” pisał Szołochow ponad trzynaście lat. (W 1928 roku ukazał się tom pierwszy, w 1929 — drugi, w 1933 — trzeci, w 1940 — ostatni). Już z tego zestawienia widać, że w okresie gdy Szołochow pracował nad swoim arcydziełem, w życiu literackim ZSRR zachodziły poważne zmiany. Odchodzono od zasad obowiązujących w pierwszych, porewolucyjnych latach, w krytyce dominował schematyzm. Ale w powieści, w jej poszczególnych tomach trudno byłoby znaleźć ślady tej zmiany klimatu. Twórca „Cichego Donu”, „Zorane ugoru”, noweli „Los człowieka” był niepodatny na koniunkturalne tendencje.

„Cichy Don” szybko doczekał się międzynarodowego uznania.

Utwory Szołochowa przełożone zostały ogółem na 73 języki, najczęściej przekładanym utworem był „Cichy Don”. Wystarczy powiedzieć, że w języku francuskim istnieją dwa odrębne przekłady „Cichego Donu”. Już od dawna nazwisko Szołochowa jest równie znane jak nazwiska Hemingwaya czy Steinbecka. Ale trzeba było dwudziestu paru lat by uznanie szerokich kół czytelniczych na całym świecie, uznanie międzynarodowej krytyki potwierdzone zostało najwyższym, przyznawanym pisarzom wyróżnieniem, Nagrodą Nobla.

„Cichy Don” jest panoramą społeczności kozackiej w latach wojny domowej. Jest opowieścią o Aksini i Melechowcie, nową wersją mitu o parze kochanków. Dzięki tej książce jeszcze jedna rzeka, jeszcze jedno miejsce na ziemi, jeszcze jedna ludzka wspólnota ze swoimi obyczajami, tradycjami, ze swoją walką i tragedią — przybliżone zostały nam wszystkim.

Komunikując o decyzji przyznania nagrody, przewodniczący Komitetu Nagrody Nobla dr Anders Oeserling, powiedział: „jest „Cichy Don” — ZR) pod każdym względem wielkim utworem, w pełni zasługującym na nagrodę, która przyznana zostaje późno, na szczęście jednak nie za późno, uzupełniając poczet laureatów nagrody literackiej Nobla nazwiskiem jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy”.

W okresie obchodów 90-lecia Teatru Polskiego w Poznaniu warto przypomnieć kilka fragmentów z kart jego historii. W 1963 r. w PIW-ie ukazał się w serii Biblioteki Pamiętników Polskich i Obcych tom wspomnień aktorów. Są wśród nich wspomnienia Stefana Turskiego, autora popularnych sztuk ludowych i aktora sceny poznańskiej w latach 1901—1908. Z książki tej, wydanej w nakładzie 3000 egzemplarzy, a więc praktycznie szerszemu gronu Czytelników nieznanemu wybraliśmy trzy fragmenty. Jeden mówi o poznańskiej publiczności teatralnej sprzed 60 lat, drugi o manifestacjach narodowych towarzyszących zazwyczaj spektaklom polskiego teatru i trzeci — przypominający na jakie prześladowania narazony był on w czasach pruskich. Stródytuły pochodzą od redakcji.

POZNAŃSKA WIDOWNIA PRZED LATY

Teatr poznański musiał być prowadzony na poziomie teatru ludowego. Poza garścią inteligencji, większość to publiczność prymitywna: rekodzielnicy, robotnicy, służba domowa, wykonanie sztuk musiało więc być dosadne, w przeciwnym razie aktor spotykał się z zarzutem:

— Dobrześ pan „grajal”, tylkoś pan kiepsko tupał. Charakterystycznym określeniem w kierunku prymitywu były wskazówki dyrektora Dobrowolskiego, udzielane jednemu z nowo zaangażowanych reżyserów:

— Bez wymyślnych sytuacji, żadnego gładzenia pod nosem po kciakach, to nie Kraków, to Poznań. Aktor ma stanać na froncie sceny, twarzą do publiczności, gadać głośno i wyraźnie po polsku i to się podoba.

Gdy reżyser narzekał, że aktorzy rolę nie douczyli, wskutek czego sufler wydierał się tak, że go publiczność słyszała, dyrektor mawiał:

— Co to szkodzi, to nawet lepiej, że za te same pieniądze słysza dwa razy.

O repertuar troski żadnej nie było. Każdego sezonu wracali te same sztuki na afisz: „Krakowiacy i Górale”, „Chata za wsią”, „Dziewczę z chwały za wsią”, „Wnuk Tumrego”, „Polop”, „Oniem i Mieczem”, „Marnotrawca”, „Trójka hulańska”, „Czterdziestu rozbójników”, „Kominarz i młynarz”, „Zyd w beczce”, „Dwaj złodzieje” itp.

Jak z powyższego zestawienia widzimy, były to sztuki z tytułami wiele mówiącymi, toteż, gdy w czasie późniejszym, za dyrektury Rygierego, weszło do repertuaru kilka sztuk o tytułach nieco skromniejszych, trzeba było, chcąc ścigać szerokie warstwy ludności do teatru, dodawać na afiszu zawsze subtytuł, na przykład: „Ofelo, czyli Murzyn w Wenecji”, „Zaczarowane koło, czyli jak diabeł wojewodę w pole wywiódł”, „Balladyna, czyli siostra siostrę o dzban malin w lesie zabija”, itp.

Nowoczesna literatura nieszczerłymi wzoledami cieszyła się (...). Gdy dla inteligencji wystawialiśmy sztuki Strindberga, Ibsena, Przybyszewskiego, przedstawiciele szerokich warstw ludności mawiali:

— Niby co to miało być, kpiny z ludzi? Przecież „takie gadanie to io mom w domu”.

Często po premierze, gdy aktor miał rolę takiegoż pocziwego włóczęgi,

Kilka kart z przeszłości poznańskiej sceny

Wspomnienia aktora

który niewiele mówi, ale za to dużo myśli, spotykał się z zarzutem:

— Aleś pon dziś, psiokrew, był taki niaiki, cóż się panu stało?

— Rola była taka.

— Godoj pon głupiemu, nie mnie, dławczęqóż Knopa (popularna nazwa aktora Knapczyńskiego) był z „fajem, robił „ioki” (dowcipy) jak jasny gwint!

— Knapczyński role miał lepsze...

— Co mi pan zawracasz głowę rola... niby to nie wiemy? Umówicie się przy piwie, jak macie „iokować”, i pliciecie, co wam ślina na język przyniesie, byle ten naród jakoś zabawić. I to jest dobre, że to was kochamy. No, nie smuć się pon panie aktor, pii pon koniak, wam biedakom rzadko się to trafio.

Toteż bracia aktorska w Poznańskim była uduaszczana tak jak niedzie, zwłaszcza wykonawcy ról komicznych byli wprost na rekach noszeni.

Gorzej było z tragicami. O Rygiere, znakomitym tragiku, mawiali:

— Nie lubie tego starego dziada, typie ślepiami, a wrzeszczy tak, jakby dzieci straszyl...

„Sa to fakty autentyczne, nie opowiadam ich, ażeby ośmieszać tych znacznych wzdów — ale te uwagi najlepiej charakteryzują ich prymitywne poście o sztuce. Zaznaczam, że te warstwy społeczne, które w Poznańskim już chodziły do teatru, w innych dzielnicach Polski jeszcze nie wiedziały, co to jest teatr. Tak było w Poznaniu, gdzie publiczność była już poniekąd teatralnie wyrobiona, teatr bowiem orywał osiem miesięcy w roku, od 1 września do końca kwietnia.

MANIFESTACJE NARODOWE

W obiadach okazywało się, jak teatr podtrzymuje ducha narodowego. Trwało to krótko, rząd pruski, mając dokładne relacje o „landratów” z wielu powiatów o manifestacjach narodowych, w czasie pobytu teatru polskiego z Poznania, czynił takie trudności, że obiad ten uniemożliwił.

Trudności te polegały na tym typowym pruskim wyrafinowanym kluciu szpiłkami. Formalnego zakazu nie było, bo zakaz taki był niedopuszczalny.

Teatr poznański, jako teatr stały, był prowadzony na podstawie pozwolenia ministerialnego, tak zwanego Höherer Kunstschein, i taki teatr miał prawo do sporadycznych występów w innych miastach. Ponieważ nasze obiady trwały bez przerwy przez całe lato, wyszło rozporządzenie, że musimy postarać się w reencji dodatkowo o określną kartę przemysłową. Chcac wykorzystać następne lato, zaraz po Nowym Roku czyniliśmy już starania o wydobyte tej nieodzownej karty przemysłowej.

Co dwa miesiące reienca żadała nowych wianień, nowych załączników, tak że w pierwszym roku tych utrud-

Dokończenie na str. 2

Kilka kart z przeszłości poznajskiej sceny

Dokończenie ze str. 1

nień owa kartę na obiad Księżstwa Poznańskiego do końca roku kalendarzowego otrzymaliśmy 23 grudnia. Rozbiliśmy się na dwa zespoły, dzień i noc. Nie wylaczając nocy wiaclinej, przewożowaliśmy sztuki i poczynsz od 25 grudnia aż do Sylwestra za-gościłiśmy w kilku miastach Księżstwa z „Obroną Czesłochowy”. Następnego roku owa okreżna kartę przemysłowa doreczono nam 31 grudnia o godzinie drugiej po południu; zdążyliśmy jeszcze w Gnieźnie urządzić wieczór sylwestrowy.

TEATR ŚWIATYNIĄ POLSKOŚCI

Spisuiac moje wspomnienia, nie mogłem przejść do porządku dziennego nad tymi rozmaitymi metodami walki hakałystycznych rządów pruskich z wszystkim, co polskie.

Wielkie zbrodnie, spełnione na narodzie polskim, jak zabranianie dzieciom pacierza w języku oiczyśtym, kafowanie dzieci polskich, Września, w-włazczenie — ołotne bylv w całym świecie, lecz o tym systematycznym perfidnym, codziennym kluciu szpilkami ci, co nie żyli wówczas pod iarzmem pruskim nie wszyscy wiedza.

Teatr polski dlatego z takim entuzjazmem był wszędzie witany, że dwudziestu kilku aktorów mówiło wobec licznie zebranej publiczności ołotno po polsku, co było dopuszczalne jedynie na zromadzeniach przedwyborczych, raz na kilka lat. Na wszystkich innych zebraniach publicznych obradować musiano w języku niemieckim.

Czy wobec takiej walki można się dziwić, że Wielkopoleanie nie przyswajali sobie najnowszych zdobyczy języka oiczyśtego? Każdy mówił tak, jak go w zaciszu domowym nauczone.

✱

W Pleszewie daliśmy pięć przedstawień, odbytych, jak wszędzie, przy natłoczonej widowni.

Następnym etapem był Ostrów, sześć przedstawień. Koźmin (ciekawa starodawna struktura miasta, które nieadys musiał być zamknięte murami), dwa, Krotoszyn (miejsce urodzenia Laniewiczza), sześć przedstawień. Każdy dzień miniony tej cudnej wędrowki żęgnany przez nas był z żalem, że już nie wróci. Aktor czuł, że nie jest tylko komediantem, który bawi znuzonych snobów, czuł posłannictwo swoje, wiedział, że siew przez niego rzucony na żyzna pada ołebe.

Na przedstawieniach nie było tej przecielnej, rozkaprzonej publiczności, na przedstawieniach był Naród, Naród, który zrozumiał, że teatr to światłyna języka oiczyśtego, która krzepi serca.

Aniśmy się spozstręgli, jak przejechaliśmy Krobie Poniec, Gostyń, Leszno, Kościan, Grodzisk i... koniec naszej cudnej wycieczki, która trwała od 3 maja do końca lipca 1902 r.

W następnych latach, 1903, 1904 uniemożliwiono nam obiad Księżstwa Poznańskiego, w Ciechocinku, dzięki wpływom ks. Darażana, Gubernatora Kalisza i profesora teatru kaliskiego oocili już drugi sezon teatr Myszkowski, operetka, która u Moskali cieszyła się specjalnymi wzaladami.

Nie było wyjścia, na przeciąg czterech miesięcy zielona trawa bez letniej gazy, sytuacja nie do pozazdroszczenia.

Przed 20 laty

Mimo że Polska była jednym z narodów najbardziej dotkniętych przez okupację hitlerowską, w procesie norymberskim nie byliśmy pełnoprawnymi partnerami. Umowa londyńska z 8 sierpnia 1945 przewidywała udział w procesie tylko czterech głównych mocarstw: Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii i Francji.

Stąd trudności w uzyskaniu nie tylko jakiegos oficjalnego statusu dla Polski, ale nawet trudności z dostaniem się do Norymbergi, uzyskaniem tam prawa pobytu, zakwaterowania i wyżywienia, co w zburzonym mieście, żyjącym ze skąpych racji kartkowych było jednoznaczne z możliwością egzystencji.

Delegacja polska składała się z czterech osób: z kraju należeli do niej Stefan Kurowski, dr Jerzy Sawicki i dr Stanisław Piotrowski, z Londynu zaś dr Tadeusz Cyprian, który tam był polskim delegatem w Komisji Narodów Zjednoczonych dla spraw zbrodni wojennych. Wszyscy z wyjątkiem Stanisława Piotrowskiego byli prokuratorami Najwyższego Trybunału Narodowego, mającego za zadanie sądzić głównych przestępców wojennych działających wyłącznie na terenie Polski.

Delegaci polscy mieli spotkać się w Norymberdze w pierwszych dniach listopada 1945 r., by przed rozpoczęciem procesu mieć czas na starania o dopuszczenie w jakiegokolwiek formie do udziału w procesie.

Jednakże trzej delegaci, jadący starym, mocno sfałgowanym samochodem z Warszawy, utknęli w radzieckiej strefie okupacyjnej Niemiec. Delegat z Londynu utknął już od razu na lotnisku londyńskim, które z powodu uporczywie trwających gęstych mgieł przez dłuższy czas nie odprawiało samolotów amerykańskich do Norymbergi.

Tak więc delegacja polska znalazła się w Norymberdze w komplecie dopiero na krótko przed rozpoczęciem procesu.

I teraz zaczęły się kłopoty.

Jedynym miejscem, gdzie personel aliancki mógł mieszkać i jeść, był „Grand Hotel” w Norymberdze, gdzie mieszkali Amerykanie, Anglicy i Francuzi. Rosjanie mieli do swej dyspozycji kilka domów daleko od centrum miasta; w tych domach było tak ciasno, że nawet łazienki służyły za biura.

Tak więc delegacja polska po przyjeździe do Norymbergi otrzymała kwatery i prawo pobytu na 10 dni, gdyż Amerykanie uważali, że zadaniem delegacji polskiej było przywieźć do Norymbergi dokumenty dotyczące spraw polskich i wręczyć je z odpowiednim objaśnieniem właściwym referentom oskarżenia. Dalszy jej pobyt w Norymberdze był zdaniem Amerykanów zbyt długi, a trudności w zakwaterowaniu i wyżywieniu kazały ograniczać do minimum udział osób pozostających na stałe w Norymberdze.

Jedyną dzięki dobremu stosunkom osobistym, nawiązanym jeszcze w Londynie, udało się delegacji polskiej uzyskać milczącą zgodę na dalszy pobyt, a co ważniejsze, karty pobytu, stałe legitymacje, uprawniające do wstępu do gmachu Trybunału i karty żywnościowe na wyżywienie amerykańskie w „Grand Hotelu”.

Początkowo dwóch z nas musiało mieszkać nie w „Grand Hotelu”, lecz w pokoju prywatnym, zarekwirowanym na przedmieściach Norymbergi, skąd wobec braku komunikacji (nasze auto nie nadawało się do stałego użytku) trzeba było co dzień maszerować parę kilometrów przez gruz zburzonego miasta, gdzie można było nawet oberwać po ciemku od hitlerowskich wyrostków.

Trybunał rezydował w gmachu sądu apelacyjnego, który był oddalony o około 3 km od „Grand Hotelu”, daleko od centrum miasta. Był to ogromny budynek, zajęty w większej części na biura trybunału, ale na górnych piętrach było sporo wolnych pokoi, bądź pustych, bądź wypełnionych rozmaitym rupieciami pozostałym po ewakuacji i bombardowaniu.

Takie trzy puste pokoje delegacja nasza okupowała, nie pytając nikogo o zezwolenie; skombinowaliśmy klucze do zamków, a na drzwiach umieściliśmy pię-

Prof. dr Tadeusz Cyprian

DELEGACJA POLSKA W NORYMBERDZE

kne, okazałych rozmiarów tablice „Polish Delegation”. W ten sposób de facto włączyliśmy się w maszynę procesową, a gdy w parę dni po naszym za-instalowaniu się Amerykanie robili generalne porządki w gmachu, nikt nas już nie zapytał, skąd tam się wzięliśmy. Zaakceptowali fakt naszego istnienia („skoro tu są, to widocznie z czyjejs autoryzacji”), a nawet włączyli nasze „biuro” w generalny plan biur i zaopatrzenia biurowego.

Zwolna zdobywaliśmy też wyposażenie biura; z rupiec wygrzebialiśmy jakieś dwie najmniej zdezelowane niemieckie maszyny. W podobny sposób „organizowaliśmy” biurka, krzesła i półki, aż nasze biuro zaczęło być jako tako urządzone.

Po uruchomieniu w ten sposób naszego biura zaczęli do nas trafiać najpierw dziennikarze amerykańscy i angielscy wędrujący po całym gmachu sądowym z tematem do reportażu, a potem już i referenci poszczególnych działów oskarżenia, pytając o różne sprawy.

Mając sporo materiału i sporo znajomości obcych języków mogliśmy dogadać się z prasą całego świata. Delegacja nasza potrafiła przetłumaczyć trudny nieraz dokument na angielski, francuski lub rosyjski, orientowała się dobrze

w stosunkach okupacyjnych, zaczęliśmy być popularni.

Pewnego dnia dostaliśmy zaproszenie na rozmowę z szefem administracji amerykańskiej. Trzeba przyznać, że szliśmy na nią z pewną treścią, bo nasz „status” w Norymberdze był bardzo słabo ugruntowany.

Szef administracji, bardzo zresztą sympatyczny amerykański pułkownik, wyraźnie nam życzył, zaczął od tego, że dochodzą go wieści o tym, iż założyliśmy formalne biuro w gmachu Trybunału i rozwijamy działalność, co nie było przewidziane w „gentlemen agreement” dotyczącym naszego pozostania w Norymberdze.

Ale — dodał — słyszałem również, że rozwijacie pożyteczną działalność i pomagacie naszym kolegom z oskarżenia. Jak sobie ułożycie stosunki z nimi i co potrafcie zrobić w procesie, to wasza rzecz; ja ze strony administracji nie będę wam przeszkadzał, tylko nie żądajcie, by wam przydzielono samochód i dwa dalsze miejsca w „Grand Hotelu”, bo tego nie dostaniecie.

Rozstaliśmy się więc w sposób jak najbardziej przyjazny, zainstalowani już na dobre „de facto” w Norymberdze... Trybunał niemal stale miał do czynienia ze sprawami polskimi.

Ogromnym sukcesem naszej delegacji było dobranie się Piotrowskiego do 42 tomów „Dziennika” Hansa Franka. Piotrowski siedział w tym dzienniku dzień i noc i jego dziełem jest wybór najbardziej istotnych ustępów z tego olbrzymiego materiału. Ustępy te następnie niemal w całości weszły do postępowania dowodowego przed trybunałem.

Stopniowo praca nasza się ustabilizowała; dwaj członkowie delegacji siedzieli stale na sali rozpraw, jeden dyżurował w biurze, a jeden (Piotrowski) siedział przeważnie zagłębiony po uszy w 42 tomach „Dziennika” Franka, robiąc wypisy i pertraktując z poszczególnymi delegacjami o przekład tych ustępów.

Materiały polskie narastały; stanowiły już poważne dossier, do którego stale zaglądali główni oskarżyciele.

Jeżdżiliśmy w sprawach tych materiałów potem w czasie procesu do Londynu, Berlina i Warszawy, w kraju braliśmy udział w dużych procesach krajowych przed Najwyższym Trybunałem Narodowym, wracaliśmy ponownie do Norymbergi, gdzie jedynie Piotrowski wytrwale pilnował należytego wykorzystania materiałów z „Dziennika” Franka, będącego prawdziwą kopalnią wiedzy o okupacji w Polsce (42 tomy maszynopisów), przywoziłiśmy do Norymbergi różne nowe materiały i tak do-trwaliśmy do wyroku.

Jeżeli nie zrobiliśmy tyle, ile by należało, to możemy powołać się tylko na to, że delegacje głównych oskarżycieli liczyły po kilkaset osób z dużym aparatem technicznym, a nas było czterech z dwiema starymi maszynami do pisania.

Eugeniusz Paukszt

Z serii PIW - owskich

Zacznę od nowej pozycji „Biblioteki Syrenki”, od książki **Ludwika B. Grzeniewskiego „Warszawa w „Lalce” Prusa**. Przyznam się, przerzucając pierwsze kartki, ani się spodziewałem, co to za znakomita lektura. Bo niby książka traktuje o warszawskich realiach „Lalki”, odtwarzając Warszawę lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, będzie więc erudytywie sucha, nużąca nagromadzeniem szczegółów. Tymczasem to wyśmienita lektura, osadzanie „Lalki” nie tylko w pełniejszym, żywym kontekście, konfrontacja rzeczywistego świata ze światem powstającym w pisarskim przetworzeniu.

Pośród licznych zbiorowych pozycji wspomnieniowych wyróżnia się tom pt. **„Wspomnienia o Andrzej Struclu”**, ze wstępem i w opracowaniu Samuela Sandlera. Jest to zestaw kilkudziesięciu prac o charakterze czy to wspomnieniowym czy przy-czynkarskim, związanych z charakterystyczną, a wciąż mało znana postaćią pisarza, polityka, społecznika, który odegrał wybitną rolę w pierw-

szych dziesięciach lat naszego wieku. Wspomnienia pisane są z różnych pozycji, tym może wszechstronniejszy stał się zarys niecodziennego sylwetki Strucla.

Entuzjaści serii „ceramowskiej” powitają z zadowoleniem nowy tom, **„Spadkobierców” Ritchie Caldera**. Jak ołosi podtytuł, jest to powieść o człowieku i stworzonym przez niego świecie, owoc obserwacji i wieloletnich przemyśleń naukowca, publicysty i znanego podróżnika angielskiego. Autor w nader ciekawy sposób próbuje uiać ciał ludzkich dzieł i nieustanna walka z naturą o poszerzenie stanu posiadania. Obrazy ze wszystkich zakątków globu, ukazane często z nieznaną siłą, stanowią punkt wyściowy rozważań, a zarazem najbardziej przekonująca ich ilustracja.

W serii KIK-u tym razem prezent czytelnicy dużego kalibru, a mianowicie **„Żołnierska zapłata” Williama Faulknera**, dopiero docierająca do nas pierwsza powieść wybitnego pisarza, wydana w r. 1926. Książka powstała jako rezultat doświadczeń

wojny światowej i namielny przeciw niej protest, wskazuje nie od strony mdłych pacyfistycznych teorii, lecz z punktu widzenia tych treści duchowych, humanistycznych, jakie groza wojny wypiera z wnętrza ludzkiego. Zmarowanie szans, zacytowanie od punktu zerowego, zaubienie w powoijnym świecie, nihilizm duchowy — oto ukazywana przez Faulknera, bardzo po mesku, prawda wojen.

W „celofanowej” serii poetyckiej niemało nowości. W wyborze i ze wstępem Anny Kamińskiej ukazały się **„Wiersze wybrane” Marii Konopnickiej**. Wybór pomyślany jest tak, by ukazać liryczne Konopnickiej z płaszczyzny nowoczesnej oceny i nie raz przesyłanie dziś baqatelizowanej poezji. I oto okazuje się, że Konopnicka nie tylko pozostaje „żywa”, ale całkiem skutecznie może konkurować z dorobkiem poetyckim naszej doby. W przekładzie Kazimierza Iłkowiaczówny otrzymaliśmy **„Poezje” Emily Dickinson**, nieznaną u nas poetkę amerykańską XIX wieku, zamieszkałą w stanie Massachusetts, której dorobek opublikowany został dopiero po jej śmierci. Ciekawa to, wzruszająca liryka, pełna wielkiego spokoju, a niekiedy i zadziwienia prawdziwością świata. Ciekawym wydarzeniem jest także publikacja **„Poezji” France Preserena** (opraco-

wanie M. Piechała), słoweńskiego poety pierwszej połowy XIX wieku, jednego z najwielkich poetów Ju-gosławii, entuzjasty Mickiewicza, charakterystycznego w swej twórczości umietynością stopienia elementów klasyki i romantyki.

W serii z „jednorozcem” przede wszystkim **„Białe kwiaty” Cypriana Norwida**, wybór poetyckich, głębokich, jakże bardzo nowatorskich szkiców ciał tak mało znanego i ciałe jeszcze niedocenionego w pełni tragicznego samolnika i genialnego artysty. W tej samej serii Teresa Lechowska przełożyła z chińskiego **„W cieniu światłyni wielkiego miłosierdzia” Lao Sze**, znanego już ze swych powieści polskiemu czytelnikowi. Tym razem otrzymujemy zestaw kilku opowiadań, charakterystycznych i stylem i tematem i językiem, obrazujących „niezwykłe historie zwykłych ludzi”. Ze znakiem „jednorozca” ukazały się ponadto **„Pożar” Erica Frieda**, opowiadania — parabole wiedziecyczne stale zamieszkałce w Anglii, uosabiającego w swej prozie wizję świata „odpoetyzowanego”, oraz **„Płazcz” Mikołaja Gogola**, znane, znakomicie celne satyryczne opowiadanie jednego z mocznych prozy rosyjskiej.

Z KSIĄŻKĄ NA TY



SZANSE SPOŁECZNEJ KONTROLI

„Polityka” wraca do omawianych już w naszym przedladzie reportaży, w których przedstawiła metody działania nieuczciwych likwidatorów szkół aradowych. Niedawno redakcja zorganizowała dyskusję, której uczestnicy zastanawiali się, w jaki sposób można ograniczyć łapownictwo na wsi, w jaki sposób organizować kontrolę społeczną, przeciwdziałać nadużyciom. Uczestnicy dyskusji zwrócili uwagę na kilka spraw mających wpływ na istnienie łapownictwa na wsi.

Po pierwsze — punktów, w których przemysł skupuje od chłopów wyprodukowane przez nich towary jest stanowczo za mało; w rezultacie chłop musi czekać, by sprzedać swój towar, a nieuczciwi pracownicy (rekrutują się oni często spośród ludzi idących do pracy w skupie czy do likwidacji szkół, tylko po to, aby zarobić w sposób nie najuczciwszy) ten właśnie fakt wykorzystują w ten sposób, że za łapówkę przyspieszają załatwienie klienta.

Po drugie — przepisy, przy których pomocy instytucje centralne starają się ukłócić nadużycia, są często nieelastyczne; istnieje zbyt wielka liczba klas produktów skupowanych od chłopów, co nieuczciwi pracownicy wykorzystują w myśl zasady: dam ci wyższą klasę, ale daj mi coś z tego.

Po trzecie — potrzebne jest stworzenie skutecz-

negu systemu samoobrony wsi przed łapownikami; można by to osiągnąć przez zwiększenie uprawnień związków branżowych, przez przyznanie aktywistom plantatorów tzw. inspektorom społecznym uprawnień, równorzędnych z kontrolą resortową.

NAIWNE ROZMYŚLANIA

Tak określa swa publikacje **Krystyna Golańska** na łamach „Kultury”, podejmując temat, który określa następująco:

„Przepisy omawiają z zasady obowiązki obywatela, pomijając oczywistą w naszym ustroju szeroką dziedzinę jego uprawnień. Czy jednak to poniechanie ideologicznych sformułowań — a może jakiś mechanizm administracyjny, nad którym warto by się zastanowić, nie prowadzi do pewnej nierówności obywatela w kontaktach z urzędami? Czyli na co dzień po prostu z MK, PKP, ADM, UPT, MO, Gazownia, Orbisem, DRN, PZWS-em, Wydziałem Finansowym, MPRDO, a nawet z ciałem pedagogicznym?”

Autorka przytacza, liczne znane nam z życia przykłady, przypominając, że np. umowa o na-iem lokalu mieszkalnego mówi tylko o tym, co pod groźbą kary i eksmisji musi robić lokator, a nie mówi niczego o tym, co powinna robić ADM; o tym, że ani PKP ani MZK nie przestrzegają sformułowanych w Kodeksie Zobowiązań zasad, w myśl których powinny nam zwracać podwójną kwotę wpłaconą przez nas za usługi, które z winy kolei lub MZK nie zostały wykonane. Reiesz przykładowo jest bardzo długi.

„Warto się zastanowić nad społecznymi skutkami owej nierówności w stosunkach urzad-obywatel. Szacunek dla ekspozytur państwa — a tak właśnie w świadomości powszechnej traktowane są wszystkie wymienione wyżej instytucje, a tym samym dla społecznej i państwowej własności i

szerzej — dla interesu społecznego rodzi się również na zasadzie wzajemności. Stworzyliśmy warunki najwęższe, bo ustrojowe, by ten stosunek wzajemny urzędu i obywatela nie uległ wypaczeniu.”

KALKULACJA KRÓTKOWZROCZNA

Takim mianem określa **Stanisław Zaliwski** na łamach „Tygodnika Demokratycznego” nieprze-strzeżenie ustawy przeciwalkoholowej. W restauracjach podaje się wódke już znowu w dowolnych ilościach, sklepy „Delikatesów” zwolniono z obowiązku przestrzegania zakazu handlu napojami alkoholowymi w określone dni fundusze, które miały być przeznaczone na akcje przeciwalkoholowe, przeczyna się coraz częściej na inne cele. Rezultaty tego są czasami aż nadto widoczne, co potwierdza zresztą statystycy informując, że np. w pierwszej połowie br. wypito więcej niż w analogicznym okresie roku ubiegłego o 2 800 000 litrów wódek czystych i spirytusu, oraz o 970 000 litrów wódek gatunkowych (w przeliczeniu na 100-procentowy alkohol). Wypadałoby jeszcze nie zapominać o spożyciu wina i piwa, które nabyć można przecież nawet na ulicy.

„Wydaje się — pisze autor — iż generalnej rewizji poddać należy wszystkie ostatnio wprowadzone ułatwienia w handlu napojami alkoholowymi, że warto zastanowić się nad modyfikacją przepisów o „suchych” dniach tak, aby były one istotnie „suchymi”. Godny zastanowienia jest wysuwany przez prasę, postulat wycofania z handlu ulicznego budek win wszystkich rodzajów, wprowadzenia na nowo zakazu sprzedaży wódek gatunkowych w sklepach „Delikatesów” w dni wypłat i w dni przedświąteczne, rewizji zezwoleń na sprzedaż likierów w kawiarni.”

POPIERAMY! PAPIERU MAMY ZA DUŻO!

Ten zaskakujący tytuł posłużył **Zbigniewowi Kwiatkowskiemu** do udowodnienia na łamach „Życia Literackiego”, że nasza baza poligraficzna jest niedostatecznie rozwinięta. Oto wystarczało, że zwiększono o 10—15 proc. pulę papieru dla wydawnictw, a okazało się, że tego papieru nie ma czym zadrukować. Przemysł poligraficzny nie może bowiem więcej drukować niż to czyni dotychczas przy za matych przecięt w stosunku do potrzeb przydziałach papieru. A więc — nie papieru mamy za dużo, lecz za mało dobrych nowoczesnych drukarń.

Ponadto: „Głos Nauczycielski” zamieszcza stenogram dyskusji nad książką doc. dr. Jerzego J. Wiata „Ideologia i wychowanie”. „Życie Literackie” drukuje dwie publikacje w związku z książką Adama Schaffa „Marksizm a jednostka”; Stefan Żółkiewski — „Propozycje ideologiczne”, Jan Szewczyk — „Ideologia alienacji, czy alienacja ideologii?” Z okazji zbliżającego się zjazdu Związku Literatów Polskich na łamach „Kultury” wypowiadają się T. Rózewicz, A. Klimowicz, E. Bądkowski, M. Misiorin, Z. Jerzyńska, a w „Życiu Literackim” J. Bocheński i W. Machajek. „Polityka” w cyklu „Kowalski bez kowali” przynosi artykuł Tadeusza Kołodziejczyka zatytułowany „W ocenie poznaniaków”, w którym omawia znaną naszym czytelnikom analizę wyników ankiety skierowanej do mieszkańców Poznania w sprawie funkcjonowania usług. „Szpilki” w rubryce „TV” wyjaśnia, że „zasada” punktualność jest grzeszczą królów” nie może mieć zastosowania w telewizji, znanej z demokratycznych upodobań.

LEKTOR